

Pamiętnik, który nie spłonął

Wiatr nieco zelżał i przez zasłonę pyłu można było dostrzec dwóch wędrowców. Obaj ubrani w identyczne skafandry marki Wintel&Sek Company. Jeden z przybyszów był wyraźnie wyższy i przewodził. Drugi szedł za nim w pewnym oddaleniu, rozglądając się ciekawie. Przeszli przez szczątki ulic przepelnione nad miarę słonecznym balaskiem. Stawał się tak intensywny, iż wydawało się, że promienie materializują się na zniszczonym bruku. Wyższa postać przystanęła u początku szpaleru rozpalonych światłem kamienic. Na podniszczonej tabliczce widniały litery „Kr...o...wska”. Wędrowiec wyciągnął z białego plecaka elektryczne urządzenie, popatrzył w nie chwilę.

- To już tu – stwierdził.

25 luty

Naprawdę nie wiem, czy to ma jakikolwiek sens. Najprawdopodobniej ten notes spłonie kiedyś radośnie razem ze szczapkami drewna w naszym kominku. W lepszych czasach. O ile kiedyś przyjdą. Na razie się na to nie zanoszą. Peter stwierdził, że pisanie uspokaja. To niby to samo, co krzyczenie, tylko że ciszej. Powiedziałam mu, że jeśli nikt tego nie przeczyta, to tak jakby krzyżeć w piwnicy pustego budynku na odludziu. On rzucił, że tam też przecież jest podsłuch. Taki żart naszej dekady. Mało śmieszne, wiem. Ale co innego nam pozostaje, jeśli nie śmiech?

Dzisiaj przeszłam się po Parku Miejskim. Właściwie nic się nie zmieniło. Tylko place zabaw są puste, jak kiedyś przy pandemii. Teraz rodzice boją się wypuszczać dzieci z domów.

Park Miejski jest cichy. Kopczyki po dawnych wyrobiskach wyglądają trochę jak ruiny po jakichś dawnych, zapomnianych budowlach. Na niektórych widać jeszcze ślady schodów. Podobno kiedyś stała tam altanka. Musiało wyglądać to bardzo romantycznie.

W mieście jest inaczej. Niby wszystko toczy się swoim dawnym rytmem: na Placu Synagogi handlują sprzedawcy warzyw, licealiści tłoczą się na przystankach, a na Piłsudskiego rano pachnie chlebem. Ale coś wisi w powietrzu. Ludzie uśmiechają się, wykrzywając twarze. Są niespokojni, poddenerwowani.

Peter mówi, że to tylko chwilowe, że to mnie, jak zawsze. Cóż, jest starszy ode mnie o całą dekadę, więc może faktycznie ma rację. Chcę w to wierzyć.

Wędrowcy maszerowali teraz ulicą już ramię w ramię.

- To jakaś ważna droga? – Spytał niższy z nich.

- Podobno kiedyś to był główny deptak – odpowiedział drugi i, widząc niezrozumienie na twarzy towarzysza, dorzucił - wiesz, taka reprezentacyjna ulica.

Szli przez jakiś czas w milczeniu. Nagle młodszy podróżny przystanął przed jedną z witryn. Połowa szyby oklejona była plakatami. Zapraszały na różne wydarzenia. Wszystkie arkusze papieru wyblakły już jednak i z trudem można było odczytać litery. Wszedł do środka sklepu. Pomieszczenie zarzucone było książkami. Bardziej szczęśliwe tomy pozostały na półkach, ale podłoga tonęła w szczątkach regałów, okładkach oraz powyrywanych kartkach. Wędrowiec wzdrygnął się. Na jednym z mniej zdewastowanych stelaży stały tomy z wizerunkiem miasta i postacią w czarnej masce doktora dżumy.

8 marzec

Na ogół lubię mieć rację. Tym razem stokroć bardziej wolalabym, żeby miał ją Peter. Nawet on przyznaje, że od czasów Wielkiego Konfliktu oraz Obalenia Muru nigdy nie widział czegoś takiego.

Wczoraj, kiedy wracałam z pracy, nieopatrznie zapatrzyłam się na jedną z witryn przy Krakowskiej. To była kwaciarnia. Śliczne rośliny ustawiono w taki sposób, że tworzyły postać dziewczyny z rozpuszczonymi włosami. W sklepie nie było nikogo. Cóż, pomyślałam i mocniej ścisnęłam trzymanego w dłoni, ledwo żywego tulipana, w naszych czasach należy cieszyć się z tych ostatnich, rachitycznych pozostałości po dawnej szkole.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że po mojej prawej stronie rozległy się okrzyki. To jedna z licznych manifestacji, jakie w ostatnich dniach przetaczały się przez miasto. Tłum krzyczał, machał rękami i wojowniczo wymachiwał transparentami. To nie prawda, że aktualnie nikt nie korzysta już z kopii. Chciałam się odwrócić i przejść szybciej niż tłum za moimi plecami, ale uświadomiłam sobie, że u drugiego końca ulicy uformował się inny, zgoła odmienny front. Tamci z kolei uzbrojeni byli w aerozole. Stałam, nie mogąc się zdecydować, co zrobić. Kiedy byłam mała, jeździłam tędy na rowerku. Teraz nigdy nie wypuściłabym swojego dziecka samego w okolice rynku. Demonstranci zbliżali się coraz bliżej. Kiedy rozpaczliwie próbowałam oszacować, która grupa potraktuje mnie jako mniejszego wroga, czyjaś ręka szarpnęła mnie i wciągnęła do wąskiego przejścia.

- Proszę pani, kto to tak stoi, jak oni przechodzą? – Zapytała z wyrzutem starsza kobieta w fartuchu sprzedawczyni.

- Ja tylko... się zapatrzyłam... i on... tak nagle – próbowałam zebrać myśli.

- No już, proszę szybko iść prosto do domu – przerwała mi. – Ostatnio tak urządzili mojego Achima... – potrząsnęła głową.

- Którzy? – Zapytałam, kiedy wychodziłyśmy z przesmyku między kamienicami.

- A czy to ma jakieś znaczenie? – Rzuciła i machnęła ręką, żebym już poszła.

Kiedy weszłam do mieszkania, Peter już tam był.

- *Witaj, Pani – powiedział, pocałował mnie i podał pudełko czekoladek owinięte czerwoną, aksamitną wstążką.*

- *Dziękuję, kochanie – odpowiedziała i pomyślałam, jak to dobrze wrócić do domu. – Jak twoja przemowa w Zgromadzeniu?*

- *Dokładnie tak, jak myślałam – westchnął. – Nie słuchają. Oni tylko krzyczą, ale nie chcą nikogo wysłuchać. Chyżewski, Myklik, Sobań – oni zgadzają się, że Sprawę trzeba rozwiązać szybko i uspokoić ludzi, póki się jeszcze da.*

- *Ulica nie jest już spokojna – stwierdziłam. – Dziś znowu się zaczęło. No wiesz, pisanie po murach, wyzwiska, „Liberté, Égalité...” – dodałam, usiadłam obok Petera, wtulając twarz w jego domowy, ciepły i miękki sweter.*

- *Nie martw się – powiedział, kładąc rękę na mojej głowie, a drugą chwytając moje drżące ręce. – Nie martw się.*

Przybysze dotarli wreszcie do wylotu ulicy. Rozpościerał się przed nimi spory plac. Ciemna, surowa fasada budynku po prawej stronie wyglądała na jedyną ocalałą niemal bez szwanku. Pobliskie budynki ucierpiały znacznie mocniej i teraz kuliły się małe, parterowe, choć dawniej z pewnością były wyższe. Po drugiej stronie skweru wznosił się gmach z czerwonej cegły.

- *To kościół? – Spytał młodszy podróżnik.*

- *Nie, to ratusz. Tam kiedyś obradowali rajcowie, zanim wybierali się na Zgromadzenie.*

Podeszli bliżej i usiedli na schodach przed budynkiem. Z termicznych pudełek wyjęli kostki witaminowe i proteinowe batony. Kiedy zjedli porcje przeznaczone na tę część misji, starszy wędrowiec wciągnął inny pojemnik. W środku, w strunowych woreczkach znajdowało się kilka kawałków papieru i zdjęcia. Jedno z nich przedstawiało młodą, czarnowłosą kobietę i nieco starszego, ale przystojnego mężczyznę. Uśmiechali się.

- *Mieszkali kiedyś w tamtej kamienicy - powiedział podróżnik i podał fotografię towarzyszowi.*

26 marzec

Długo nic nie pisałam, bo też nie bardzo jest o czym. Albo inaczej: jest o czym, ale ostatnie wydarzenia nie powinny być opisywane. Nie powinny w ogóle się wydarzyć.

Ze względu na niezbyt bezpieczną sytuację mój dział pracuje zdalnie, więc ostatnio wcale nie wychodzę z domu. Nareszcie mam dużo czasu, więc posprzątałam wszystko, co tylko się dało, rozprawiłam się z długą listą spraw do zrobienia „na wczoraj”, wróciłam nawet do haftowania. Peter się śmieje, że nie po to moje babki walczyły o równość, żebym ja miała

teraz znowu oddawać się w niewolę tamborka. Tak mówi, potem sam wyciąga starą maszynę do pisania, a ja, przechodząc obok, od niechcienia rzucam coś o postępie i klawiaturze. Siedzimy tak wieczorami: ja wyszywam, a on pisze przy świetle świec, bo po 18:00 często występują przerwy w dostawie prądu.

Dzisiaj po raz pierwszy od kilku dni przejrzałam portale internetowe. To był błąd. Z niedowierzania włączyłam także radio. Błąd jeszcze większy. Czarna, lepka smoła grozy wlała się do mieszkania nieprzerwaną falą. O ile do tej pory sytuacja zdawała się być zła, o tyle teraz stała się po prostu fatalna. Niedobory w magazynach żywności, manifestacje, podpalenia. Administracja chwiała się jak domek z kart. Służba zdrowia alarmowała. Cały region zdawał się pogrążyć w chaosie.

Wyłączyłam laptop. Spojrzałam przez okno na szary krajobraz śródmieścia. O tej porze zazwyczaj było jeszcze cicho. I nagle w tej ciszy rozległ się przeraźliwy grzmot. Spojrzałam na wylot ulicy Krakowskiej. To budynek Staszica legł w gruzach.

27 marzec

- Dziękuję, zastanowię się – odpowiedziałam mojej przyjaciółce po usłyszeniu, jak to określiła, „propozycji nie do odrzucenia, zaproszenia ostatniej szansy”.

- Tylko szybko, jutro zamykamy listę. Nie ma na co czekać, bierz Petera i przyjeżdżajcie – dodała i rozłączyła się.

Ledwie odłożyłam telefon, kiedy otworzyły się drzwi. Peter wrócił ze kryzysowej narady Zgromadzenia. Mieli zdecydować, co zrobić z całym tym zamieszaniem. Wszedł, pocałował mnie w policzek i śmiejąc się odłożył płaszcz.

- Jak było? Co to za śmiech? – Spytałam zdziwiona.

- To wszystko jest śmiechu warte, więc się śmieję, jak to kiedyś ktoś mądry powiedział – stwierdził.

- Wymyśliliście coś mądrego?

- A no widzisz, tak, propozycji był całkiem sporo i to sporo dobrych – stwierdził i wyciągnął z torby jakąś kopertę. – Najlepszy jednak był pomysł końcowy, a mianowicie – odrzucić wszystkie wcześniejsze ustalenia. Finalnie postanowiono nie ewakuować nikogo, a tylko czekać na rozwój wypadków i pojazdy transportowe z innego regionu – przerwał na chwilę. – Och, nie kręć głową, nie podoba ci się taka perspektywa? Ależ jest przecież świetna! Tylko to sobie wyobraź... W głosowaniu wygrał ten jakże wybitny concept. Wiesz, nie mogąc nawet dojść do mównicy, przygotowałem dla nich list. Chcesz może zobaczyć? – Spytał i podał mi trzymany w dłoni kawałek papieru.

- Cóż... - stwierdziłam po przeczytaniu. – Jeśli chcesz, żeby cię wyrzucili - wprost idealny. Jest jeden mały problem, obawiam się, że nie wszyscy nadążają za twoim lotnym umysłem i ciętym dowcipem.

- O to pierwsze się nie martw. Sam odszedłem – stwierdził poważnie i sięgnął do szafki, w której trzymał kilka swoich bardzo osobistych rzeczy.

Wyjął małą butelkę i wlał trochę jej zawartości do kieliszka. Podałam mu drugi. Chwilę się wahał, ale w końcu ten także napelnił.

- Kocham cię. Bardzo – powiedział trzymając mnie za rękę, wypił swoją porcję i zasnął.

Podróżni wstali i znów pomaszerowali przed siebie. Minęli dom na rogu i pozostałości po całkiem sporej, starej latarni.

- Myślisz, że moglibyśmy tu wrócić? – Zapytał młodszy przybysz.

- Jeśli znajdziemy to, czego szukamy, z pewnością tak. Może za jakieś 10, 15 lat... Kto wie. Na razie skażenie jest zbyt silne.

2 kwiecień

Ostatnie doby były bardzo męczące, ale cieszę się, że takie właśnie się stały. Kilka dni temu przyjechałam we wskazane przez moją przyjaciółkę miejsce, czyli do Zabytkowej Kopalni Srebra.

- Nie wiem, kto to wymyślił, ale tak już jest – opowiadała Sabina, kiedy razem z innymi wolontariuszami zjeżdżaliśmy windą pod ziemię. – Na razie mamy tu wszystko: sprzęt, wodę, jedzenie, zapasy leków i środków higienicznych. Wolne łóżka czekają, ale coś czuję, że i tak szybko zostaną zajęte. Zaraz dostaniecie ubrania robocze, a później czeka was szkolenie. Resztą się zajmę – rzuciła i mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

Nigdy nie zapomnę tej wędrówki przez stare korytarze i komór, które wyglądały jak prawdziwe sale szpitalne. Co prawda w obecnych czasach nie jest to już coś nadzwyczajnego, ale pierwszy raz widziałam takie coś na własne oczy.

Nazajutrz rozpoczął się armagedon. Tłumy ludzi z przestraczem w oczach zaczęły pojawiać się w naszej bazie. Winda nieustająco poruszała się w górę i w dół. Następnego dnia zaczęli przyjeżdżać chorzy i ranni. Miałam podstawowe kwalifikacje ratownicze, ale na początku przydzielili mnie do grupy niebieskich, czyli zwykłych wolontariuszy. Bardzo szybko okazało się, że każdy, kto wie, jak robić opatrunki musiał dołączyć do białych – służby medycznej.

Godziny mijały tak szybko, że nawet nie wiedziałam, kiedy kończy się jeden dzień, a zaczyna drugi. Przy sztucznym, całodobowym oświetleniu łatwo stracić rachubę. Ludzie, którzy zjechali pod powierzchnię po nas, albo niewiele chcieli mówić i siedzieli nieruchomo

ze wzrokiem utkwionym w ścianę, albo potok słów wylewał się z ich ust. Po trzeciej zmianie nauczyłam się wyłączać z tych niekończących się opowiadań. Przydałby się jakiś dobry psycholog. Wprawdzie mamy tu kilku ludzi z dyplomami, ale zdaje się, że sami potrzebowaliby specjalisty.

Zawiał wiatr i żółty pył wzbił się w wielki, świetlisty obłok. Skafandry były oczywiście wyposażone w filtry. Nikt nie zapuszczałby się bez nich w ten wyludniony region. Podróżnicy wędrowali wciąż naprzód.

- Co się właściwie stało? – Spytał po długim milczeniu młodszy z nich.

- Hmm, widzisz, nie do końca wiem. W bazie niewiele się o tym mówi nam, rocznikowi DK2. Wydaje mi się, że mieli jakiś problem, który nazywali Sprawą. Może jakieś kwestie ze środowiskiem lub technologią... Niby był jakiś plan, ale wydaje się, że nie zadziałał tak, jak miał. W każdym razie najbardziej zagrożonym miejscem były właśnie Tarnowskie Góry. Inne miasta wyglądają lepiej, niektóre nawet się odbudowały. Tutaj czas stanął w miejscu.

10 kwiecień

Powoli kończą mi się kartki w notatniku. Nie mam szans na nic innego, bo nawet papier jest towarem deficytowym. Najgorsze jest to, że nie mogę też za bardzo z nikim porozmawiać. Inni wolontariusze przeżywają to samo: strach, zmęczenie, stres, ale nikomu nie powiedzą, bo to pogorszyłoby stan psychiczny rozmówcy. Zakłęte koło.

Kilka dni temu usłyszeliśmy przeraźliwy huk. Wszyscy zatrzymali się w swoich zajęciach. Niemowlaki zaczęły płakać, starsze dzieci wczepiały się w ubrania rodziców. Staliśmy niepewni, co się za chwilę wydarzy. Jakiś idiota w naszej sali już wziął wdech, żeby zacząć krzyczeć, ale jeden z wolontariuszy w ostatniej chwili zatkał mu usta i dyskretnie, ale stanowczo wciągnął w ciemność korytarza. Pomyślałam, że jeśli w tej chwili ktoś zacznie biegać, wrzeszczeć lub nawet powie coś nieprzemysłanego, wybuchnie zbiorowa panika. Oddychałam głęboko i zaciskałam pięści, czekając na cokolwiek.

- Sytuacja opanowana – rozległ się głos z megafonów. – Prosimy powrócić do swoich zajęć.

Wszystko rozplynęło się w okamgnieniu. Mieszkańcy naszego podziemnego miasta wrócili do przerwanych rozmów. Medycy kontynuowali swoją pracę. Niebieskie stroje wolontariuszy migają w korytarzach. Tylko ja oparłam się plecami o zimną ścianę. Zrobiło mi się dziwnie słabo. Cholera. Co z nimi? Nie wiedzieli, czy tylko nie chcieli wiedzieć, co się stanie?

Dziś okazało się, że sytuacja jednak nie jest tak bardzo opanowana. Od dłuższego czasu nie otrzymujemy transportów z Bytomia. Środki higieniczne na wyczerpaniu. Prowiant jest, ale personel za niego odpowiedzialny niechętnie się odzywa i bardzo wymijająco odpowiada na wszelkie pytania. Morale spadły tak nisko, że trzeba by głęboko drożyć, żeby znaleźć resztki motywacji. Właśnie skończyłam zmianę. Chciało mi się płakać. Nie miałam nawet

chusteczki, żeby wytrzeć nos. Tak strasznie chciałabym, żeby Peter tu był. Łzy kapaly na szorstkie ubranie robocze. Nie miałam już nawet siły, by je otrzeć.

Właśnie wtedy odcięto prąd. Zapadły zupełne ciemności. Po chwili wśród nich zabłyśły zielone punkciki światełek awaryjnych.

Pomyślałam, że za chwilę usłyszę krzyki, wołanie o pomoc, groźby, tupot nóg i generalnie wszelkie możliwe odgłosy paniki. Zamiast tego dotarło do mnie coś zgoła odmiennego. W znajdującej się zaraz obok sali dla mieszkańców ktoś zaczął śpiewać. Zaraz dołączyły się do niego inne głosy, niewyćwiczone i łamiące się, ale włączające się w jeden tekst. Chyba nawet go znalazłam. Przysunęłam się bliżej korytarza, by lepiej słyszeć. Wersy układały się w mojej głowie. To była pieśń, którą pamiętałam jeszcze z innych, odległych czasów. Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek ją usłyszę, a już na pewno nie w jakiejś kopalni. Sama nie zauważyłam, kiedy zaczęłam nucić: „Tibi assumus, Tui memores memores, vigilamus, vigilamus”.

Podróżnicy wciąż podążali przed siebie rzadko tylko zatrzymując się, kiedy starszy wędrowiec pokazywał co młodszemu. Nie nazwałby siebie przewodnikiem. Zdawał sobie sprawę, że jego opowieści pochodziły z pogranicza wiedzy i przekazów ustnych, a te ostatnie mają to do siebie, że są bardzo płynne i łatwi zmieniają kształt w zależności od okoliczności oraz nastroju twórców. Mimo tego podróżny starał się ze staranną dokładnością dobierać źródła informacji. Przeglądał stare strony internetowe, które jeszcze jakoś dało się odtworzyć w nowym formacie. Niestety całe setki przepadły bezpowrotnie. Czasami zdarzały się skarby w postaci skrawków notatników, zeszytów szkolnych, a nawet gazet. Chował je w specjalnie przygotowanym do tego pudełku w swoim pokoju. Przez pięć lat utworzyło się małe archiwum. Kiedy był jeszcze nastolatkiem, wpadł mu w ręce kawałek plakatu z napisem „Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej”. Zafascynowany zebrał grupę znajomych i razem już gromadzili wszelkie informacje o mieście gwarków. A teraz sam mógł ty przybyć! I to z taką misją. Z entuzjazmem wyciągnął aparat i zrobił kolejne zdjęcie.

16 kwiecień

Peter otworzył oczy. Widziałam, jak na jego twarzy rysuje się najpierw wyraz szczerego zaskoczenia, później śmiertelna trwoga, a następnie – kiedy zobaczył mnie siedzącą na skraju jego łóżka – ulga. Dobrze, że mamy już prąd. Możliwość zobaczenia całej tej mieszaniny emocji dawała mi szaloną satysfakcję.

- Jak? I czemu? I w ogóle gdzie? – Zaczął wypytywać, trzymając mnie za rękę.

- Niewiele brakowało – stwierdziłam.

- Ale jednak żyję – powiedział, jakby próbował się sam do tego przekonać. – Żyję, prawda? – Spytał szybko i niepewnie spoglądając na mnie.

- *Tak. Po prostu jesteśmy w kopalni – odpowiedziałam.*

- *No tak, ale przecież... - urwał, niepewny i jakby przestraszony moim surowym spojrzeniem. – Przecież... Ach, ty wiedziałaś – powiedział wolno i widząc, że kiwam głową, kontynuował. – Domyśliłaś się i zamieniłaś butelki... Tak bardzo cię przepraszam. Tak bardzo.*

- *Po prostu nigdy więcej nie rób takich głupich rzeczy, rozumiesz? Nigdy więcej – próbując opanować łamiący się głos, przytuliłam go tak mocno, jak tylko umiałam.*

Pewnie jeszcze długo byśmy tak trzymali się w objęciach, gdyby nie starsza pielęgniarka, która przeszła obok nas.

- *Jak wyzdrowiał, to wstaje i do roboty, już, już – rzuciła i poszła dalej.*

- *Kochanie?*

- *Tak?*

- *Jak tu u Was wyglądają kwestie organizacyjne?*

Przybysze stanęli wreszcie u celu. Wśród pustej przestrzeni wystrzeliwała w górę przeżarta przez korozję metalowa wieża. Nie była bardzo wysoka, ale stojąc samotnie dominowała nad krajobrazem. W młodszym wędrowcu budziła jednocześnie i fascynację, i niepokój.

- *Och, dotarliśmy – stwierdził radośnie drugi podróżnik. – Zostaniemy tu na noc.*

Z dużego plecaka wydobyl białe urządzenie oraz tablet. Po kilkunastu sekundach mały robot wydał kilka dźwięków i z cichym, monotonnym szumem zaczął skanować teren, po czym odjechał na swoich małych kółkach.

Podróżni rozbili namiot. Po kolacji, kiedy nastala ta pora, gdy w człowieku nagle i niespodziewanie pojawia się silna potrzeba rozmów egzystencjalnych lub wspomnienia starych, dobrych czasów, starszy wędrownik usiadł przed namiotem. Nad nim niebo pełne było gwiazd. Z namiotu dochodziły odgłosy szeleszczącego wciąż śpiwora.

- *Denerwujesz się? – Spytał, nie odrywając wzroku od migoczącego nieboskłonu.*

- *Hmm... Nie no, nie... Ale wiesz, to moja pierwsza misja, więc hmm... No rozumiesz... - jego towarzysz pojawił się obok niego.*

Też miałem 15 lat, kiedy pierwszy raz mnie wysłali, pomyślał wędrowiec.

- *Opowiem ci coś. Dawno temu żył sobie tutaj pewien rolnik. Pewnego dnia podczas pracy zobaczył, że jego pług wyorał z ziemi coś błyszczącego. Pomyślał, że to skarb. Rzeczywiście, była to ruda srebra. Wrócił do domu bardzo szczęśliwy. Później opowiadał o nim swoim dzieciom i wnukom. Ta historia pozostała w jego rodzinie już na zawsze. Kilkaset lat później, kiedy osada stała się miastem, jej mieszkańcy co roku zaczęli wyprawiać wielkie święto. Nawet oni nie zapomnieli o pracowitym rolniku. Co roku pojawiał się w paradzie. Kiedyś*

ludzie lubili takie rzeczy – przebierali się za dawne postacie, organizowali koncerty, a nawet zmontowali wielkie ruchome koło z małymi kapsułami. Wsiadali do tych kapsuł i z góry oglądali swoje miasto. A przecież jego skarby znajdują się pod ziemią, a nie nad nią...

Podróżnik przerwał swoją opowieść i spostrzegł, że jego kompan zasnął.

2 maj

Życie toczy się dzień za dniem. Bardzo intensywnie. Biegamy po korytarzach, zmieniamy opatrunki, dawkujemy leki, zmieniamy pościele, czyścimy kombinezony, biegamy po korytarzach, zmieniamy opatrunki, dawkujemy leki, zmieniamy pościel... Wolontariusze, medycy i reszta mieszkańców powoli zaczęła się pozbywać napięcia, w którym żyliśmy całe tygodnie. W końcu, ile można wytrzymać w ciągłym podenerwowaniu? Coraz częściej słyszy się ciche śmiechy. Ciekawa rzecz: im bardziej jesteśmy zmęczeni, tym lepsze wymyślamy żarty.

Tylko Peter jakby wcale się nie męczył. Całymi dniami pracuje, ledwo zatrzyma się na chwilę, żeby zamienić ze mną słowo lub coś zjeść, a już pędzi dalej. Zupełnie jakby dostał nową szansę i za żadne skarby nie chciał jej zaprzepaścić.

Od jego przebudzenia wiele się zmieniło. Peter nie byłby Peterem, gdyby nie zaczął tworzyć struktury organizacyjnej. Na początku naszego podziemnego życia władzę sprawował zastępca burmistrza. Sama burmistrz została na powierzchni, żeby pomóc przy eskortowaniu ostatnich ewakuowanych, ale ta grupa nigdy do nas nie dotarła... Mijmy nadzieję, że udało im się znaleźć wejście do schronów w Reptach. Zastępca szybko jednak oddał obowiązki w ręce ordynatora szpitala. Ten jednak dzielił ludzi na trzy grupy: chorzy, medycy i cała reszta. Chorzy byli od leżenia, medycy od opieki, a cała reszta – póki miała cztery kończyny – po prostu od niewchodzenia w drogę innym.

Peter zaprosił wszystkich radnych, przedstawicieli różnych grup, działaczy czy aktywistów. Pewnego wieczoru ustalili, jak można by zaangażować pozostałych chętnych. Następnego dnia zjawili się u ordynatora ze spisnymi propozycjami. Ten tylko machnął ręką, powiedział, że mogą robić co chcą, byleby to nie było zmieszanie i odszedł do swoich pacjentów.

Teraz ludzie nie siedzą już beczynnie w kątach sal. Większość mieszkańców znalazła zajęcia. Część pomaga przy transportach, inni gotują, szyją, poprawiają łączność. Sporo twarzy kojarzę z tamtego poprzedniego miasta na powierzchni. Nigdy bym nie przypuszczała, że co poniektórzy będą ze sobą potrafili współpracować. Mam nadzieję, iż będziemy mogli kiedyś wrócić i zacząć tak żyć na co dzień.

Robot stanął obok namiotu i zapiszczał radośnie. Starszy wędrowiec przetarł zaspane oczy. Na wschodzie pojawiały się zorze. Świt był chłodny i nie zachęcał do opuszczenia przytulnego śpiwora. Urządzenie jednak niecierpliwie krążyło wokół niego, aż wreszcie

podróżny odczytał nadawany komunikat. Ucieszony, wyskoczył ze śpiwora, podbiegł do robota i dotknął dwóch przycisków. Otworzyła się mała szufladka. Na dnie leżał zabrudzony kamień. Pierwsze promienie słońca musnęły go i wydobyły srebrny odblask.

- A jednak – powiedział do siebie podróżnik.

18 maj

Jak dobrze, że Peter się obudził. Jak dobrze, że zorganizował mieszkańców. W ciągu tygodnia mieliśmy trzy napady. Okazało się, że ktoś źle zabezpieczył jeden z szybów. Ku naszemu zaskoczeniu weszli przez niego jacyś ludzie. Myśleliśmy, że to ocaleli z katastrofy i nawet zaczęliśmy szykować łóżka szpitalne. Ale oni nie chcieli pomocy. Wdarli się do wewnętrznej strefy. Zdemolowali zaplecze i ukradli małą część zapasów. Za drugim razem próbowali podłożyć ogień. Do trzeciego napadu już nie dopuściliśmy. Udało się złapać jedno z nich. Wyglądał jak szaleniec. Nie chciał mówić, kim są jego wspólnicy. Nie chciał w ogóle nic mówić, tylko patrzył na nas i śmiał się. Tymczasowo powołana straż zamknęła go w izolatce.

To był dopiero początek problemów. Wśród ludzi zaczęły krążyć plotki, że stacja w Bytomiu padła. Rzeczywiście, od kilku dni dostawy znów przestały docierać. Dziś straciliśmy łączność z innymi schronami w promieniu trzydziestu kilometrów. W nasze rozmowy wkradł się cień i chociaż ze wszystkich sił staramy się nie dopuszczać do siebie myśli o najgorszym, trudno nam to przychodzi.

Wieczorem Peter usiadł obok mnie i nawet nie zaczął relacjonować kolejnego dnia pracy, co wydawało mi się dziwne, a nawet w pewien sposób uroczyste.

- Chciałem ci powiedzieć, że nawet jeśli ostatecznie stąd nie wyjdziemy i nawet, co wcale nie jest pewne, ale... no cóż całkiem możliwe, zakończymy niebawem naszą historię – mówił i patrzył mi w oczy. – To cieszę się, że stawimy czoło temu ostatniemu wyzwaniu razem, we dwoje – dokończył i bardzo mocno mnie przytulił.

- Hmm... w troje – mruknęłam z twarzą w jego swetrze.

- No ale co się z nimi w końcu stało? Zginęli? A może ktoś się uratował? Bytom naprawdę padł? – Młody podróżnik zadawał kolejne pytania, próbując dotrzymać kroku starszemu.

Po znalezisku robota, doświadczony wędrowiec oznajmił, że misja zakończona i pora wracać do domu. Niestety każda wyprawa miała ściśle określony czas, którego należało przestrzegać.

- A co z tymi ludźmi ze zdjęcia? – Dopytywał mniejszy przybysz.

- Ach, wiesz – zaczął wędrowiec. – To moi dziadkowie.